



KIH – α

Kurier Instytutu Historii

№ 2 (9), R. II

www.sknh.uni.lodz.pl

listopad 2005

Drodzy czytelnicy !

Nie da się ukryć, że jest coraz zimniej, a więc zamiast spędzania czasu na dworze możemy oddawać się lekturze KIH-y w Instytucie...

W tym numerze znajdziecie strategiczne uzasadnienie budowy dziekanatu, opis lotniska Lublinek, kiedy jeszcze nie latano stamtąd do Londynu za 200 zł, a także przestrozę przed mafią. Przed wami także dalsza część monarchicznych rozważań, oraz kilka praktycznych informacji dla studenta i wolontariusza.

Nic, tylko czytać !

Redakcja



MONARCHICZNIE (II)

‘DYNASTEÚO’ ZNACZY ‘WŁADAM’

Wszystkie monarchie dzisiejszego świata można ogólnie rzecz biorąc podzielić na trzy rodzaje. Jeżeli za kryterium podziału przyjmujemy reguły sukcesji, a więc najważniejsze zasady zapewniające ciągłość i trwanie, wówczas możemy wyodrębnić monarchie dziedziczne i monarchie elekcyjne. Istnieje jeszcze typ trzeci, który można by określić monarchią wirylną*. Wirylistą (z łacińskiego ‘*virilis*’) nazywa się urzędnika, który obejmuje pewne stanowisko (godność) dlatego, że zostaje wybrany, mianowany albo też dziedziczy inne stanowisko (godność). W naszym przypadku oznacza to, że monarcha obejmuje swą godność, ponieważ np. staje na czele innego państwa. Inaczej mówiąc, jest to sposób funkcjonowania unii personalnej. Monarchiami elekcyjnymi są np. Watykan, Samoa, Malezja czy Kambodża; wirylnymi – Andora, Kanada, Australia, Jamajka. Dominującym typem jest jednak także i dzisiaj monarchia dziedziczna (25 państw) – w tym odcinku przyjrzymy się jej nieco bliżej, zwracając uwagę na jej specyficzną, konstytuującą ją instytucję – dynastię.

Rodzina panująca może istnieć nie tylko w warunkach sukcesji przez dziedziczenie; znane są podobne sytuacje z królestw systemu elekcyjnego, w których tworzyły się wielopokoleniowe dynastie, łatwo przywołać podobne przypadki nawet w republikach (Indie, Filipiny, kraje Ameryki Łacińskiej). Jednak tylko monarchia dziedziczna nie może istnieć bez dynastii, tylko ona konstytucyjnie utrwała jej związek z władzą w państwie (choćby symboliczną). I tu niespodzianka – i dawniej i dziś między dynastią w sensie prawnym, a dynastią w sensie genealogicznym istnieją różnice. To, co Anglicy nazywają *House*, a Francuzi *Maison* to inna kategoria niż dynastia taka, jak ją rozumiemy w Polsce. Często jest rozumiana zawężająco (jak we Francji, gdzie w samej dynastii Orleańskiej wyróżnia się cztery Domy, przy czym Orleañczycy to w istocie tylko gałąź prastarej dynastii Kapetyńskiej), bądź rozszerzająco (jak w Holandii). Polakom, którym wszelkie zmiany nazw i nazwisk często kojarzą się cokolwiek paranoicznie z próbą ukrycia albo zafałszowania czegoś przed ogółem, trudno zrozumieć tę różnicę między formalną dynastią a genealogiczną prawdą. A ma ona najczęściej związek z identyfikacją z państwem bądź z ważnym dla historii państwa monarchą-protoplastą. Mając w pamięci głównie średniowiecznych Andegawenów, Karolingów, Rurykowiczów, odpowiedzmy wobec tego na pytanie, jakie dynastie ostały się i rządzą w XXI wieku?

👑 Wielka Brytania – w świetle prawa władca pochodzi z Domu Windsorskiego, nazwanego tak w 1917 r., by podkreślić brytyjskość rodziny panującej (a nie, jak się często pisze, by ukryć niemieckie pochodzenie). Wcześniej nazywano go Domem Sasko-kobursko-gotajskim (Domem Koburskim), który rozpoczynał się po śmierci ostatniej reprezentantki Domu Hanowerskiego, Wiktorii, w 1901 r. Obecna nazwa zostanie w użyciu nawet po wstąpieniu na tron Karola III i Wilhelma V (tak właśnie, nie Williama V!). Tymczasem genealogicznie rzecz biorąc (śledząc przodków po mieczu) od 1901 r. do dziś, włączając w to Elżbietę II, Zjednoczonym Królestwem rządzi dynastia Wettinów, ta sama, która dała Polsce Augusta II Mocnego, Augusta III i księcia warszawskiego Fryderyka Augusta, a która przez stulecia – od średniowiecza do 1918 r. – władała Saksonią i państewkami Turyngii; ta sama, która dała trzech carów odrodzonej Bułgarii, w XIX w. weszła na tron Portugalii i Belgii. Książę Karol, choć jest po mieczu wnukiem księcia greckiego, dynastycznie będzie pierwszym na brytyjskim tronie reprezentantem duńskiej rodziny Oldenburgów, tej samej, która niedługo przestanie faktycznie panować w Danii, a trwa jeszcze w Norwegii. Natomiast pojęcie Domu Hanowerskiego jest odzwierciedleniem brytyjsko-hanowerskiej gałęzi dynastii Welfów, jednej z najstarszych rodzin królewskich Europy.

* Podział jest autorski, podpieranie się nim przez Czytelników w czasie egzaminów może wobec tego nieść pewne ryzyko.

- 👑 Holandia – odkąd Niderlandy (jak do dziś Holendrzy zwą swoje królestwo) stały się monarchią w 1815 r., tron spoczywa w rękach jednego domu panującego – Orańskiego (Oranje-Nassau), związanego z siedmioma prowincjami odkąd tylko zaczęły się usamodzielniać. I obecna królowa, Beatrycze I, i następca tronu (w przyszłości Wilhelm IV Aleksander), są jego członkami. Ponieważ jednak ostatni jak dotąd mężczyzna na hasko-amsterdamskim tronie, Wilhelm III, zmarł w 1890 r., genealogicznie sytuacja wygląda inaczej. Pierwsza królowa – Wilhelmina – to jeszcze dynastia Orańska; druga – Juliana – to dynastia Meklemburska (Niklotydów; rządząca od XII do XX w. w księstwach Meklemburgii, zapoczątkowana, co warto godnie uwagi, przez Słowian). Córka Juliany, panująca obecnie, jest dla genealoga przedstawicielem licznie rozrodzonej dynastii Lippe (Haholt), także niemieckiej, z jej linii Biesterfeld. Księżę małżonek królowej Beatrycze pochodził ze szlacheckiej rodziny von Amsbergów, toteż jego syn wprowadzi ją do tablic genealogicznych – już jako dynastię.
- 👑 Monako – dynastia Grimaldich, rządząca Monegaskami od początku ich odrębności wygasła, czy raczej opuściła tron, w 1731 r., wobec czego sukcesja musiała w dwóch przypadkach nastąpić przez kobietę, a więc po kądzieli. Ponieważ jednak tylko Grimaldi może gwarantować utrzymanie samodzielności małego księstwa, każdy małżonek musiał zmienić nazwisko i wejść do rodziny Grimaldich – to dlatego tak nierozzerwalnie kojarzy się ona do dziś z Monte Carlo. Genealogicznie jednakże od 1731 r. zaczęła się w Monako epoka dynastii Goyon de Matignon (arystokratycznego, normandzkiego pochodzenia), która trwała do 1949 r. Wówczas na tron wstąpił po swoim dziadku macierzystym, Ludwiku II, Rajner III, znany zapewne wszystkim jako mąż Grace Kelly (ks. Gracji Patrycji) i najstarszy stażem monarcha Europy. Zmarł w 2005 r., a jego syn, Albert II, jest już drugim władcą z dynastii Polignac (Chalençon), jednego z najstarszych, bo sięgających tradycją X w., francuskich rodów książęcych.
- 👑 Dania – w ciągu dziesięciu mniej więcej wieków istnienia duńskiej państwowości siedziba władców przenosiła się z Ringsted do Roskilde, wreszcie do Kopenhagi; ewoluowały też familie na tronie. Niemniej to Duńczykom właśnie udało się relatywnie długo utrzymać – od 1448 r. aż po chwilę obecną – tę samą dynastię, wywodzącą się (i swoją nazwę) od hrabiów Oldenburga. W 1863 r. na tron wstąpiła wprawdzie młodsza jej gałąź (Glücksburska), jest to jednak ten sam ród Oldenburgski. Warto w tym miejscu wspomnieć, że następcy Katarzyny II na tronie rosyjskim aż po Mikołaja II i Michała II wywodzili się (wariant optymistyczny) z tego samego wielkiego, rozrodzonego pnia, z którego pochodzą także królowie odrodzonej w 1905 r. odrębnej monarchii norweskiej, królowie Grecji, księżta Holsztyna i Gottorpu. Ale czas dynastii Oldenburgskiej w jej duńskim mateczniku powoli dobiega końca wraz z obecnym panowaniem – Małgorzaty II. Jej syn, przyszły Fryderyk X to już, genealogicznie rzecz biorąc, familia de Laborde-Monpezat. Zapewne więc i w Danii nazwa starej dynastii utrzyma się przy nowej, kontynuującej jej tradycję.

To tylko cztery przykłady – więcej KIH-a nie pomieści. Jeżeli ktoś chciałby poczytać jeszcze o innych tronach i dynastiach – zapraszam na stronę www.sknh.uni.lodz.pl. Znajdą się tam i pozostałe monarchie, w liczbie ponad dwudziestu. Mam jednak nadzieję, że i te przedstawione przypadki pozwoliły wykazać, że różnica między rozumieniem prawnym a genealogicznym dynastii istnieje. Będzie się jeszcze w dodatku pogłębiała – w Europie przyczyni się do tego zwłaszcza rewolucja praw sukcesyjnych, cokolwiek niezauważona, choć ma największą skalę w dziejach – mam na myśli, rzecz jasna, całkowite równouprawnienie kobiet (córek monarchy) w prawach do tronu oraz dopuszczenie małżeństw ze wszystkimi grupami społecznymi. Dynastie genealogicznie rozumiane, nierzadko zupełnie nowe, będą się zmieniać niemal co pokolenie, natomiast nazwy pozostaną historyczne – po to, by jeszcze mocniej podkreślać ciągłość i tradycję. Dynastia pozostanie więc bardzo specyficzną, rządzącą się własnymi regułami instytucją.

Andrzej Kompa
andrzejkompa@o2.pl

Dziekanat

W poprzednim numerze KiH-y mój szanowny kolega I sekretarz Koła postawił w wstępniaku tezę, iż dziekanat został zaprojektowany z myślą o hobbitach. Zmuszony jestem wdać się w polemikę z tą tezą. Gdyby dziekanat istotnie był przeznaczony dla hobbitów, byłby przestronny, z okrągłymi drzwiami, sufit znajdowałby się na wysokości 1,8 metra, przed nim byłaby poczekalnia z miękkimi siedzeniami – dla każdej kolejki inny kolor – w poczekalni można byłoby palić ziele fajkowe, a w samym dziekanacie czekałby poczęstunek. Nie mówiąc już o tym, że dla dziekanatu byłby osobny budynek. Nie, zdecydowanie, gdyby istniała ustawa o dyskryminacji niziołków, to dziekanat w obecnym kształcie łamałby większość jej paragrafów – przecież nawet teraz co drobniejsze studentki muszą w dziekanacie podskakiwać, aby zostać zauważonymi.

Jaki jest więc sens obecnego kształtu dziekanatu? Bo trudno mówić o ergonomiczności i wygodzie, nie tylko dla niziołków, ale również dla ludzi. Według mnie sens taki istnieje. Nasz dziekanat jest bowiem Dziekanatem Antyterrorystycznym! Tak. Jak dziwnie by to nie brzmiało, tak jest w istocie. Pomyślcie sami, jeśli jakiś perfidny oddział talibów z Klewek będzie chciał opanować dziekanat, i zabrać to, co dla każdego studenta najcenniejsze (czyli indeksy), będzie miał nieskończenie mniejsze szanse niż poprzednio, na Lindleya. Na początek trzeba przebić się przez kolejkę studentów, dość skutecznie blokującą ruch. Potem na napastników czeka wąskie przejście. Drzwi otwierają się do środka, a przestrzeń między ladą a ścianą jest tak mała, że pomieści góra dwóch terrorystów. Osoba siedząca z prawej strony od drzwi patrząc jest całkowicie zasłonięta przed ich wzrokiem i może zacząć dowolną kontrakcję – od ostrzału z flanki poczynając, na ucieczce do pomieszczenia przylegającego i wezwaniu posiłków kończąc. Dzięki szerokości lady atak białą jest mocno utrudniony. Punktem ewakuacyjnym może być okno, jeżeli dodamy do niego sznurową drabinkę. Nawet w przypadku ataku granatem, przeżywalność obsługi powinna wynieść około 66%, co jest całkiem niezłym wynikiem. Natomiast jeżeli dodatkowo założymy, że sympatyczne panie z dziekanatu, a także równie sympatyczny pan zostały przeszkolone w obsłudze broni palnej i wyposażone w tę broń, to szanse potencjalnego terrorysty maleją niemal do zera. Dlatego należy się cieszyć, że nasze indeksy są bezpieczne, a drobne niewygody znosić z uśmiechem na twarzy, gdyż stanowią dobrą cenę za ich bezpieczeństwo.

Kajetan Rudnicki
Jataman@gmail.com

Zespół redakcyjny: Lidia Jurek, Bruno Kamiński, Andrzej Kompa, Wojciech Marciniak, Sylwia Wielichowska.

Współpraca: Przemysław Damski, Marta Rudnicka, Kajetan Rudnicki, Agnieszka Rytel, Kamil Śmiechowski

Rycerzyka projektował Przemysław Damski.

**Drukowano w Pracowni Kserograficznej Instytutu Historii
Uniwersytetu Łódzkiego oraz w Pracowni Introligatorskiej
i Kserograficznej pp. Ewy i Amilkara Kosińskich.
Nakład 250 egz.**

Port Lotniczy Łódź 1925-2005

Mijają właśnie dwa miesiące od znaczącego, choć niemal zupełnie przemilczanego jubileuszu. We wrześniu bieżącego roku łódzkie lotnisko na Lublinku ukończyło 80 lat. Istnieje jednak wiele powodów, dla których rocznicę tę należałoby postrzegać raczej w smutnych nastrojach. Lublinek stał się bowiem we wspomnianym czasie symbolem marazmu oraz braku perspektyw na rozwój, pociągających za sobą negatywne skutki dla Łodzi oraz całego regionu. Co ciekawe, ten stan rzeczy wywołany był zarówno przez gospodarcze, jak i polityczne czynniki. Tym większa jest zatem potrzeba lepszego poznania dziejów łódzkiego portu.

O konieczności rozwoju polskiego lotnictwa zdecydował bardzo szybki postęp tego działu techniki, który dokonał się w trakcie pierwszej wojny światowej. Cel ów, oprócz państwa, realizowały liczne instytucje oraz organizacje społeczne. Jedną z nich, Liga Obrony Powietrznej Państwa, podjęła inicjatywę budowy lotniska w Łodzi. 13 września 1925 roku przy skrzyżowaniu szosy pabianickiej z dzisiejszą ulicą Stanisława Dubois odbyła się przy udziale biskupa Tymienieckiego i wiceministra Eberhardta oficjalna uroczystość otwarcia łódzkiego portu lotniczego. W miejscu tym utworzono wówczas przystanek tramwajowy o dumnej nazwie „Lotnisko”, która obowiązywać miała jeszcze przez najbliższe pół wieku! W rzeczywistości samo lądowisko ulokowano na rozległych łąkach, położonych około trzy kilometry na zachód od Rudy Pabianickiej. Stąd z czasem przyłgnęła do niego nazwa najbliższej wioski. I w ten sposób w annały lotnictwa na stałe weszła już nazwa „Port Lotniczy Łódź Lublinek”.

Niestety od samego początku Lublinek nie miał szczęścia do regularnych połączeń pasażerskich. Linie lotnicze Polavia, które zapowiadały połączenia lotnicze z Łodzi, nie wywiązały się z zobowiązań. W tej sytuacji łódzkie lotnisko mogło korzystać jedynie z koniecznych wówczas międzylądowań. Zatrzymywały się tu samoloty kursujące na trasach Warszawa – Poznań i Warszawa – Kraków, należące do spółki Aero. Jednak generowany ruch był bardzo niewielki, a postoje te wkrótce zawieszono. Nie udało się także wprowadzić do Łodzi warszawskiego Lotu.

Dlaczego Łódź nie mogła trwale rozwinąć stałych połączeń lotniczych na szeroką skalę? Nie jest to kwestia zbadana w zadawalający sposób. Wielka Wojna podłamała kondycję wielu łódzkich przemysłowców i finansistów. Kiedy tylko udało się podleczyć rany, zadane przez zamknięcie wschodnich rynków, nastąpił wielki kryzys. Warto też zauważyć, że miasto nie posiadało dostatecznie rozwiniętej klasy średniej. To wszystko znacząco uszczuplało liczbę potencjalnych klientów. Nie bez znaczenia mogła być też zbyt bliska odległość Warszawy. A konflikt interesów między miastami był wówczas dość wyraźnie zastrzony.

Ale stagnacja w dziedzinie komunikacji paradoksalnie otworzyła przed Lublinkiem nowe możliwości rozwoju. Od 1929 roku na Lublinku działał Łódzki Klub Lotniczy. W roku następnym ruszyło w Łodzi, kierowane przez Franciszka Żwirkę, Centrum Przysposobienia Wojskowego Lotniczego. Centrum miało charakter centralnego ośrodka szkoleniowego aeroklubów polskich.

Na początku infrastruktura portu ograniczała się do jednego drewnianego hangaru. Później jednak wybudowano elegancki terminal w modnym podówczas stylu dworskim. Trawiasty pas startowy wytyczono w orientacji północ – południe. Lotniskiem z prawdziwego zdarzenia w nowoczesnym rozumieniu tegoż pojęcia stał się Lublinek w latach okupacji. Intensywne działania wojenne, toczone na froncie wschodnim, wymusiły na III Rzeszy potrzebę pilnej budowy licznych lotnisk dyspozycyjnych na całych okupowanych połaciach Europy Wschodniej. Transport broni i innych ładunków wymagał zresztą rozwoju całej infrastruktury komunikacyjnej. Na terenie Łodzi miały podówczas miejsce dwie potężne

inwestycje – budowa kolejowej stacji rozrządowej na Olechowie i generalna przebudowa portu lotniczego. Wybudowano betonowy pas startowy o długości 1200 metrów oraz cały system dróg kołowania, standardowe place postojowe, a także okazały kompleks budowli zaplecza technicznego, gdzie później ulokują się Wojskowe Zakłady Lotnicze.

Dokonano także bardzo istotnej zmiany w lokalizacji lotniska. Nowy pas startowy zorientowano ze wschodu na zachód. Ten fakt w sposób bardzo istotny wpłynął na możliwości rozwojowe portu. Odtąd nadlatujące samoloty miały w czasie startów i lądowań przelatywać bezpośrednio nad zabudowaniami miasta, omijając wyższe budynki i wszechobecne kominy. Jakakolwiek rozbudowa lotniska w kierunku wschodnim stała się niemożliwa.

Pierwsze lata powojenne to z całą pewnością najlepszy okres w dziejach Lublinka. Ruszyły bezpośrednie połączenia z Gdańskiem, Katowicami, Krakowem, Warszawą, Wrocławiem i Poznaniem. Miała wówczas Łódź pozycję drugiego po stolicy portu lotniczego w Polsce. Tym bardziej niezrozumiała i niewytłumaczalna była podjęta w 1958 roku decyzja o zawieszeniu ruchu lotniczego. Jedno jest pewne – decyzja ta miała charakter polityczny. Czy chodziło o ochronę interesów Okęcia? A może lotnisko przeszkadzało swemu wojskowemu sąsiadowi? To jedna z licznych, niemal zupełnie niewyjaśnionych zagadek w dziejach gospodarczych PRL-u.

I tak rozpoczęła się długa era Lublinka – spokojnego lądowiska kojarzonego przede wszystkim ze sportem oraz śmigłowcami, przybywającymi czasem na przeglądy do pobliskich Wojskowych Zakładach Lotniczych nr 1. Tu również papież Jan Paweł II odprawił masową mszę podczas swej pielgrzymki do Polski w 1987 r. Konsekwencje likwidacji portu były wyjątkowo negatywne. Łodzianie przyzwyczaili się, że w ich mieście nie ma lotniska i planując dłuższą podróż trzeba udać się do Warszawy. A Łódź stała się bodaj największym w Europie miastem, pozbawionym własnego portu lotniczego, co stało się słusznym powodem rozpowszechnianych tu i ówdzie drwin z miasta...

Ostatnie piętnastolecie przypominało przedwojenny epizod lotniska. Pomimo wielkich nakładów inwestycyjnych ze strony miasta ruch był niewielki, a kolejne połączenia zawieszano. Szansą na rozwój miało okazać się dopiero uwolnienie polskiego rynku dla tzw. linii niskobudżetowych. Od miesiąca uruchomione jest stałe, codzienne połączenie Łodzi z Londynem. Cieszy się ono olbrzymią popularnością, a ilość sprzedanych biletów przekroczyła już 20 tysięcy. To smutne, ale gros podróżnych to ludzie zmuszeni przez sytuację ekonomiczną do pracy zagranicą. „Ucywilizowanie” się lotniska musi stać się jednak okazałym impulsem do rozwoju miasta i regionu. Obserwując kończący się szczęśliwie na naszych oczach etap dziejów łódzkiego lotniska przypomnijmy zdanie z nagłówka prasowego sprzed 80 lat: *Dziś ziszczą się ikarowe marzenia Łodzi.*

Kamil Śmiechowski
xk@gazeta.pl

NIESZCZĘSNY DAR WŁADZY WEDŁUG STEINBECKA

John Steinbeck wielkim pisarzem był – potwierdzeniem tej opinii niech będzie uznanie komitetu Noblowskiego czy też uznanie milionów miłośników literatury amerykańskiej. Lekkie spaczenie zawodowe, jakiego nabawiłam się przez trzy lata pobytu w murach Instytutu każe mi zwrócić uwagę na wiadomy aspekt jego twórczości...

Humoreska *Krótkie panowanie Pepina IV* ukazuje drogę, którą MOGŁA potoczyć się historia powojennej Francji. Powieść nie jest jednak z gatunku „gdybologii” czy też niczym nieograniczonej literackiej fikcji.

Główny bohater, Pepin (zbieżność imion przypadkowa?), jest tzw. przykładowym obywatelem, głową rodziny, a przy tym astronomem–amatorem. Przewrotny los niespodziewanie czyni go pierwszym po Rewolucji Francuskiej kandydatem do korony. Przywrócenie monarchii ma być antidotum na chaos i brak poszanowania władzy. Od tego momentu Pepin wpada w „tryby historii”. Jego najbliżsi błyskawicznie podejmują rolę bycia „pierwszą rodziną”, a zewsząd nadchodzą rady dla regenta. Bohater szybko dowiaduje się, że stanowisko nie jest synonimem władzy, lecz określonej roli, jaką przyjdzie mu zagrać – a nie współtworzyć. Sztab doradców utwierdza go w tym przekonaniu, przedstawiając mu szereg królewskich obowiązków, do których należy m. in. posiadanie metresy jako odskoczni od trudów związanych z życiem koronowanej głowy. Powołując się na liczne przykłady z historii, starają się przekonać niedosłusznego władcę, że tzw. dekapitacja (czy też inne formy nienaturalnego zejścia z tego świata...) nie jest najgorszą rzeczą, jaka może go spotkać – jest wręcz wybawieniem od konieczności sprawowania rządów.

Próba walki o niezależność owocuje niezamierzonym nawiązaniem braterskich stosunków z obozem państw socjalistycznych, a po ostatecznym fiasku kończy się ucieczką z Paryża w stylu Ludwika XVI.

Spod humorystycznego opisu powojennej Francji wyłaniają się gorzkie refleksje na temat polityki i ludzi nią się zajmujących. Na pierwszy plan wyłania się brak wiary w możliwość zmian i ich pozytywne efekty. Człowiek posiadając tzw. kręgosłup moralny nie jest w stanie walczyć ze swoim zapleczem politycznym – ci z kolei, pomimo znajomości błędów już popełnionych, nie zamierzają ich unikać. Wreszcie pojawia się spostrzeżenie, iż długość rządów jest wprost proporcjonalna do politycznej bierności i zachowawczości.

Jaka jest więc recepta Steinbecka na władzę przez duże W i rządy przez duże R? Odpowiedzią niech będzie cytat z innego dzieła Johna S. – *Księżyc zaszedł*:

*Ludzie stadni wygrywają bitwy
- ludzie wolni wygrywają wojny*

Aneta Stawiszyńska

Dobra klasyka nie jest zła:

„Złożę mu propozycję nie do odrzucenia”

Wychodząc z założenia, że odrobina klasyki nikomu jeszcze nie zaszkodziła (choć może nie posiadam najnowszych danych statystycznych), chciałbym poruszyć sprawę filmu, który nie tylko zdobył sobie trwałe miejsce w dziejach kinematografii, lecz stał się swego rodzaju ikoną, rozpoznawalną po dialogach, czy też niektórych scenach, nawet przez osoby nie mające z nim nigdy do czynienia. Chodzi mi mianowicie o *Ojca chrzestnego* w reżyserii Francisca Forda Coppoli.

Film ten powstał w roku 1972, a scenariusz do niego napisali sam reżyser oraz Mario Puzo, człowiek będący autorem powieści poświęconej rodzinie Corleone, czy też Michaelowi, gdyż w odróżnieniu od filmu, gdzie twórcy skupiają się raczej na pewnej zbiorowości, to wokół niego orbituje ten mafijny wszechświat. W trakcie kręcenia opowieści dołożono wszelkich starań, by zadbać o bezpieczeństwo aktorów, ponieważ liczone się z możliwością zamachów. Ze scenariusza wycięto nawet pojawiające się w książce słowa *mafia* czy *Cosa Nostra*. Ten drugi zwrot był dość istotny w jednej ze scen, w efekcie czego narada Pięciu Rodzin Nowojorskich jest jedynym punktem filmu prezentującym się gorzej od książki.

Problemów dostarczało też kompletowanie obsady. Udziału odmówił Jack Nicholson, a Al Pacino, na którego uparł się Coppola zobaczywszy go w jakiejś (chyba broadwayowskiej) sztuce, wypadał, kolokwialnie rzecz ujmując, beznadziejnie podczas kolejnych przesłuchań.

Niemniej jednak 14 marca 1972 odbyła się premiera, a film obok *Obywatela Kane'a* Orsona Wellesa jest dziś uznawany za najwybitniejsze dokonanie amerykańskiej kinematografii.

Co jednak jest w tym filmie tak fenomenalnego, że kolejne pokolenia oglądają go z niesłabnącym zaciekawieniem? Ba, zdobywa nowe rzesze fanów czy wręcz wyznawców, wyłapujących najdrobniejsze nieścisłości w tłumaczeniu, wycinanie scen, jeśli film emitowany jest w telewizji. Może dlatego, iż jest tu coś w rodzaju antycznej tragedii. Fatum prześladowającego bohaterów tak, że na końcu wszystko „będzie jak być powinno”. Michael, najmłodszy syn Don Vito Corleone jest rodzinnym buntownikiem, którego szczytem marzeń nie jest *praca dla Rodziny*. Powtarza swej narzeczonej: *Taka jest moja rodzina, Kay. Ale nie ja.*

Jednak gdy dokonany zostaje zamach na życie jego ojca, szanowanego przez wszystkich *Ojca chrzestnego, il Padrino*, bez chwili wahania prosi swego brata, Sonny'ego, by mu przydzielił jakieś zadanie. Natomiast gdy we Francuskim Szpitalu okazuje się, że Don Vito pozbawiony jest ochrony, podejmuje błyskawiczne, trzeźwe decyzje i krzyżuje plany Sollozzo, jak przystało na prawdziwego Corleone.

Wiem oczywiście, że pisanie o tym jako o bohaterstwie jest trochę dwuznaczne, biorąc pod uwagę fakt, iż to *Cosa Nostra* i nikt nie jest tu bez winy; lecz podstawową wykładnią etyczną jest tu honor przejawiający się w obronie rodziny oraz z wywiązywania się z powinności wobec Rodziny, a nie moralność w rozumieniu ogółu społeczeństwa¹. Może właśnie ten kodeks jest magnesem przyciągającym do tejże produkcji? Gdyby tak stwierdzić, byłoby to grubym nadużyciem, czy wręcz ujmą wobec tego dzieła, gdyż bez wątplenia tak należy określać ten film.

Czy da się bowiem pominąć fenomenalną ścieżkę dźwiękową Nino Roty, kreacje Marlona Brando, Ala Pacino, Jamesa Caana czy Roberta Duvalla? Czy sposób jest wyeliminować takie kobiece postaci, jak Kay Adams czy Constanza „Connie” Corleone?

Nie.

Ojciec chrzestny to zespolenie wszystkich tych elementów. Opowieść o honorze – owszem, ale też o człowieku, który chcąc wyrwać się, jeśli wolno mi użyć tak patetycznego określenia, ze szponów rodzinnego interesu, w chwili ostatecznej próby opowiada się po stronie, którą dotychczas ignorował. Wartości wpojone mu kształtują go, nie potrafi postąpić inaczej, gdyż musiałby zaprzeczyć swej osobowości. Przekreślić całkowicie to, kim jest, a tego zrobić nie może, bo tym samym okazałby brak szacunku swoim rodzicom. Tym, którzy go wychowali.

Michael wdraża się zatem w funkcjonowanie Rodziny, przechodzi chrzest, jakim jest zabójstwo Sollozzo i kapitana McCluskey'a. Wkrótce sam zostaje Donem. Tym, przed czym się bronił. Ironia losu. Fatum.

Jak napisał Gabriel García Márquez (...) *plemiona skazane na sto lat samotności nie mają już drugiej szansy na ziemi*. Syn wstępuje na drogę obraną wcześniej przez ojca, choć ten nie chciał, by on nią kroczył. *Wiedziałem, że Santino będzie musiał przez to przejść. Fredo też (...), ale myślałem, że kiedy przyjdzie twój czas, to ty będziesz pociągał za sznurki. Senator Corleone. Gubernator Corleone*. Michael odpowiada na to tylko: *Kolejny pezzonovante*². Dokonał wyboru, lecz nie teraz. Wcześniej, wystarczyła tylko dogodna chwila. To jest błędne koło samotności. Zawsze tak będzie i nic tego nie zmieni.

¹ „Rodzina” to, rzecz jasna, mafia w odróżnieniu od „rodziny” oznaczającej podstawową komórkę społeczną. Niby rzecz oczywista, ale może ktoś tego nie wie.

² *Pezzonovante* – wł. waźniak. W *Ojcu chrzestnym* używa się tego określenia zdecydowanie pejoratywnie, na określenie ludzi związanych z polityką, zarówno zajmujących się nią zawodowo, jak i biznesmenów mających wpływ polityczny. Używane przez mafiosów.

Dla każdego ten film jest czymś innym. Jedni radują się widząc, rozprawę Michaela z bossami Pięciu Rodzin. Ha, ha, dostało się bydłakom. Prawda, to dość prostacka reakcja, ale nie znaczy, że nie występująca. Inni ze zdumieniem patrzą, jak zwykli ludzie składają pełne szacunku, czołobitne ukłony człowiekowi podważającemu sankcjonowany przez państwo system prawny. Tak to już jest z wielkimi dziełami, iż każdy potrafi znaleźć w nich coś dla siebie, swą własną interpretację³.

Osobiście uważam ten film za kapitalną metaforę słabości człowieka wobec przeznaczenia, gdyż ono jest tym, czym my jesteśmy, jacy jesteśmy. To, jak nas ukształtowali rodzice, otoczenie, życie, zdecydowało o milionie naszych przyszłych posunięć. Popadając w grafomanię, mógłbym rzec, iż Michael uciekający przed rodziną i Rodziną jest jak Hektor czmychający przed Achillesem, który i tak go w końcu dopadnie, bo bogowie już zadecydowali.

Najlepszym dowodem na to, jaki był odbiór tego filmu po jego premierze, jest to, że nakręcono jego kontynuację, która mym nieskromnym zdaniem przerosła swego poprzednika. Oczywiście dziś, kiedy byle szmira ma piętnaście kontynuacji, jak choćby *Superman* [o zgrozo kręcą następnego] czy inne *jesiotry drugiej świeżości o psyche* równie głębokiej, co lalka Barbie, nie wydaje się to niczym nadzwyczajnym, jednak wtedy „seriale kinowe” nie były czymś normalnym, nie licząc oczywiście serii produkcji o Bondzie, ale nawet ona była wtedy czymś innym niż dziś.

Mógłbym oczywiście pisać w nieskończoność na temat *Ojca chrzestnego*, rozważać dylematy Donów Michaela i Vita, poruszać problem samotności kobiet i mężczyzn w tej historii, gdyż zaliczam się do tych właśnie ludzi, którzy oglądali ten film nie razy kilka, lecz kilkadziesiąt [ściślej rzecz ujmując trzydzieści cztery], znają go na pamięć i z niesmakiem patrzą na podobne zabiegi z tłumaczeniem, jakich, nie tylko przy tej pozycji, dokonuje pewna stacja telewizyjna, jednak wydaje mi się to zbyt częste, poza tym nie chcę zajmować miejsca koleżankom i kolegom, również wypowiadającym się na łamach „KIH-y”, zatem zachęcam do obejrzenia tej pozycji wszystkich, którzy nie mieli jeszcze okazji widzieć tego arcydzieła.

Pozostali zaś mogliby złożyć im *propozycję nie do odrzucenia*, by im w tym pomóc.



Przemysław Damski
damen32@wp.pl

Gatunek *student historii*

Znanym nam wszystkim gatunkiem ssaka powszechnie występującego stadnie w dużych miastach, w Łodzi wokół ulicy Kamińskiego, jest student historii (dalej zwany studentem). Gdyby opisać jego życie, czyli studia, za pomocą wykresu, to na jego linii pionowej oznaczylibyśmy ilość nauki, a na poziomej czas, jaki na pozyskiwanie wiedzy poświęca. Byłaby to jedna wielka sinusoida.

U mnie ostatnio jednak nieosiągająca wartości dodatnich. Wcale nie dlatego, że jestem wielkim leniuchem, tylko dlatego, że studia to czas oczekiwania na sesję, a raczej na wiele nieprzespanych nocy, lub czas nieprzesypiania tych nocy. Na moich studiach na dwóch ostatnich latach tych sesji już nie ma albo przybierają one karykaturalny wygląd.

Tymczasem na studenta żyjącego sobie tym miłym rytmem czyha pewne niebezpieczeństwo. Nagle pojawia się przed nim widmo pracy magisterskiej. I wszystko się

³ Jest to stanowisko dekonstrukcjonistów, którzy potrafią doprowadzić interpretację do granic absurdu; jednak w pewnych, logicznie ujętych, ramach każdy może odbierać dzieło na swój osobisty sposób.

zmienia. Ten stary, ustalony tryb życia studenta przemienia się w straszliwy długotrwały stres, wyznaczony terminami seminariów. Nasz gatunek może znów poczuć się jak w ogólniaku, gdy wyrwano go do odpowiedzi. A tutaj zadawane jest to samo pytanie: *Jak postępy panie kolego?* Zachowanie studenta w tym momencie jest zawsze takie samo: pot występuje mu na czoło, ręce osiagają drzenie, rejestrowane przez sejsmologów i zaczyna wydawać z siebie dźwięki dla tego gatunku charakterystyczne. *Bo ja... no właśnie... chciałem... ale...* Dźwięki te mogą zmieniać się w zależności od płci uczestnika seminarium. Ale aby odpowiedzieć profesorowi jakoś konkretniej, trzeba by było przecież spędzić czas w bibliotece lub archiwum, a na taki dyskomfort student historii nie może sobie pozwolić. Co z tego, że w jego portfelu znajduje się pięć kart bibliotecznych, już to powinno dawać mu olbrzymią wiedzę. Przynajmniej na temat, w jakich godzinach przechodzić koło biblioteki, by przypadkiem nie okazała się otwarta.

Jednak i na studenta przychodzi dzień, dzień wyznaczony na wystąpienie na seminarium. Zaczyna postępować w naszym gatunku zmiana. Zaczyna się on poddawać refleksji nad biegnącym czasem. Potrafi godzinami patrzeć na wskazówki zegarka, by lepiej zrozumieć, dlaczego tak mało czasu zostało do jego wystąpienia. Nagle student historii zaczyna odczuwać olbrzymią potrzebę czytania. Bierze na warsztat pisma Platona, Nietzschego oraz menu najbliższego pubu. W tym właśnie miejscu spotykają się osobniki tego gatunku, aby opowiedzieć sobie o swoich przemyśleniach. Zazwyczaj pokrywają się one, a podobieństwo wniosków wzrasta wśród studentów, mających ten sam termin seminarium podczas którego wygłoszą swoje dzieła.

Gdy przychodzi wieczór przed seminarium, którego student historii ma być gwiazdą, wtedy poddaje się on nurtowi wydarzeń i postanawia napisać kawałek pracy. Na szczęście ma internet, dobrą narzeczoną lub książkę, której nie zna promotor. I tak przeżywa „swój” wtorek, by ponownie podjąć badania tak ważne dla historyka. Badania na temat upływu czasu.

Agnieszka Rytel
agnieszkarytel@op.pl

Na prośbę Samorządu Studenckiego WF-H zgodziliśmy się zamieścić następujący komunikat SS WF-H:

Przewodnicząca: Patrycja Tylak

Zastępca: Wojciech Rożnowski

Sekretarz: Piotr Wojtasik

Skarbnik: Sławomir Szczesio

Marta Rudnicka, Lidia Jurek, Bruno Kamiński, Ludwika Wykurz, Karolina Korytkowska, Krzysztof Latocha, Juliusz Wołk, Paweł Gawroński

Dyżury samorządu III piętro, pokój 304:

Pn. 13.00-14.00 Juliusz Wołk (filozofia),

Wt. 13.30-14.30 Piotr Wojtasik, Wojciech Rożnowski (historia)

Czw. 13.00-14.00 Lidia Jurek (ja), Bruno Kamiński, Sławomir Szczesio, Krzysztof Latocha (historia)

Pt. 11.00-12.00 Patrycja Tylak, Andrzej Hołasek (historia)

Wolontariat studencki

Interesujesz się sportem, motoryzacją, literaturą? Znasz różne techniki uczenia się czy radzenia sobie ze stresem? Lubisz malować, śpiewać albo mówić w obcych językach? A może tak bardzo kochasz historię, że właśnie tym chciałbyś podzielić się z innymi? Jeśli tak, to *Wolontariat studencki* jest właśnie dla Ciebie!

Wolontariat studencki jest to program Polsko–Amerykańskiej Fundacji Wolności, który realizowany jest przez Centrum Wolontariatu w Warszawie. Dzięki niemu będziesz mógł zrealizować własny projekt edukacyjny. Jego odbiorcami mogą być dzieci i młodzież ze wszystkich rodzajów szkół, a także innych placówek (np. świetlic czy domów dziecka) z miejscowości do 20 tysięcy mieszkańców.

Można realizować dwa typy projektów. Są to projekty systematyczne, realizowane w czasie roku szkolnego. Dane miejsce powinno się odwiedzić wtedy minimum trzykrotnie. Drugi typ to projekty wakacyjne oraz realizowane w czasie ferii zimowych. Mogą one trwać od jednego do dwóch tygodni.

Program skierowany jest do studentów, którzy tworzą 2-5 osobowe zespoły. Przy projektach wakacyjnych czy realizowanych w okresie ferii zimowych muszą to być minimum 3 osoby. Na czele każdego zespołu stoi lider. W program zaangażować mogą się również absolwenci, doktoranci, a także kadra naukowa!

Pierwszym krokiem, by wziąć udział w programie, jest stworzenie zespołu oraz projektu, który będziecie chcieli realizować. Następnie musicie się zarejestrować w programie. Rejestracja, wymiana informacji, nawiązywanie kontaktów, wszystko to odbywa się za pomocą internetu. Dokonać tego można na stronie: www.wolontariat.edu.pl. Więcej informacji o programie możecie uzyskać właśnie pod tym adresem albo pod numerem bezpłatnej infolinii: 0 800 444 131.

Dlaczego warto zainteresować się *Wolontariatem studenckim*? Prozaiczna odpowiedź – to jest coś fajnego i dobrego, zarówno dla dzieci, jak i dla studentów. Jest to szansa na świetną naukę i zabawę. Program zakłada, że celem studenckich projektów edukacyjnych jest rozwijanie zainteresowań dzieci i młodzieży, a także wyrównywanie ich szans edukacyjnych. Wielkomięjski świat wkracza w ten mały, lokalny, który często jest trochę jednostajny i nudny. Przybycie studentów jest bardzo ważnym wydarzeniem dla tego lokalnego środowiska, a w szczególności dla dzieci. Wywołanie radości wśród dzieci, zainspirowanie ich, sprawi Wam na pewno wielką satysfakcję (praca z dziećmi taka właśnie jest – mówię z doświadczenia!). Jeśli to Wam nie wystarczy to pamiętajcie jeszcze o zdobytym doświadczeniu, o możliwości wykazania się swoimi zdolnościami twórczego myślenia, umiejętnością pracy w grupie oraz koordynacji projektu. Jeśli zostaniecie liderem, zdobędziecie również umiejętność kierowania zespołem. Wszystko to być może przyda się Wam już po studiach, na przykład kiedy będziecie starali się o pracę (nie tylko w szkole!).

Oddzielną grupę stanowią przyszli nauczyciele historii. To szansa dla Was na zdobycie doświadczenia w pracy z dziećmi. W czasie praktyk pedagogicznych, a potem w pracy w szkole będzie to bezcenne. Możecie zastosować różne metody i środki dydaktyczne, a najważniejsze, pobyć trochę z dziećmi. A dzieci potrafią zaskakiwać i nie wiercie, że dydaktyka pod tym względem Was przygotowuje.

Kolejne plusy tego programu, to zapewnienie wolontariuszom przez organizatorów zakwaterowania, wyżywienia, zwrotu kosztów podróży, ubezpieczenia (NNW i OC) oraz materiałów niezbędnych do prowadzenia zajęć. Nie zapominajcie również, że dzięki *Wolontariatowi studenckiemu* zobaczycie nowe miejsca, poznacie ciekawych ludzi. Na pewno będą to dla Was niezapomniane chwile.

Marta Rudnicka
martarud5@wp.pl

OGŁOSZENIE SKNH

Studenckie Koło Naukowe Historyków zaprasza wszystkich Czytelników do aktywnego uczestnictwa w działaniach SKNH. Spotykamy się co tydzień, we wtorki, o 15:30, w sali 304.

* * *

Dalsze informacje o bieżącej działalności SKNH znajdziecie na naszej stronie internetowej:

www.sknh.uni.lodz.pl

* * *

KIH-a jest pismem otwartym – jeśli chcielibyście więc zaprezentować własny tekst na forum – zapraszamy. Propozycje nadsyłajcie na adres SKNH:
sknh_lodz@o2.pl

* * *

Z przyjemnością zapraszamy do ogólnodostępnej, profesjonalnej i nowoczesnej Pracowni Kserograficznej i Introligatorskiej. Znajduje się w naszym Instytucie, przy szatni.

W szerokim wachlarzu usług znajdują się m. in.:

- Kserokopie A4 od 6 do 10 groszy*
- oprawy prac wszelakich*
- eleganckie passe-partout*
- wydruki i skanowanie*
- reperacje i oprawy druków, starych książek, czasopism*

Pracownia oprawia profesjonalnie każdy rodzaj prac bez względu na format i objętość. Oprawy wykonywane są na miejscu, bez korzystania z tzw. gotowych okładek.